

zenie megery łagodnie i ostre zmarszczki na jej twarzy wyrównują się, zwróciłem się do niej półgłosem, rzucając bacznie okiem dokoła sali.

— Nikt tu nas nie podsłucha? Moja sprawa musi być załatwiona bez ciekawych spojrzeń i niedyskretnych uszu.

Spojrzała na mnie przenikliwie.

— Czego pan chce? — mruknęła.

Wyjąłem z kieszeni monetę pięciofrankową i położyłem ją na stole. Natychmiast bez najmniejszego wahania nakryła ją ręką.

— Troszkę specyfiku — szepnąłem zupełnie po cichu. — Trzy lub cztery krople czegoś, co w tyleż minut da radę człowiekowi. Tym człowiekiem to ja jestem — dodałem, widząc, że spojrzenie jej zaszepia się.

Przez dłuższą chwilę bacznie mnie oglądała. Potem opuściła szybko oczy na rękę, która pokrywała monetę.

— Bardzo żałuję — rzekła, podnosząc tę rękę ze stołu — lecz nie mam sposobności do zdobycia takich rzeczy. Kto pana przysłał do mnie?

Zawahałem się chwilę, potem rzekłem spokojnie:

— Człowiek, który pomógł pani wywikłać się z kłopotu wieczorem, gdy zjawiała się tutaj policja. On był szczęśliwszy odemnie. Jemu pani nie odmówiła.

— To kłamstwo! — zawołała.

Te stanowcze twierdzenie zachwiało mną. Czyż możliwe, bym ja się najzupełniej mylił?

— Ja mu nic podobnego nie dawałam — zaczęła znowu gniewnie. — Nie po to on tutaj przychodził. Albo też on zakpił sobie ze mnie więcej, niż mogłam się tego spodziewać.

— Cóż więc on tutaj robił?

W oczach matki Lepic zjawilo się znowu podejrzenie.

— Jeżeli pan przyszedł po to, by wyciągnąć to ze mnie — oznajmiła — to również dobrze pan uczyni, jeżeli się stąd wycofa. Nie mam zwyczaju pozwalać się ciągnąć za nos.

Dodałem drugą monetę do pierwszej.

— Może na gorze on to otrzymał? — poddałem jej myśl.

— Tak, to co innego — zawołała, wyciągając swe zakrzywione palce, by nakryć obie monety. — To możliwe, nie mówię, że nie. Te kobiety mają takie dziwne nawyki.

— Czy można widzieć się z niemi na chwilę? Czy można ją widzieć, tę?

Sposób, w jaki zaakcentowałem to ostatnie słowo, sprowadził na mnie znowu długie spojrzenie starej megery, które jednak możliwie najspokojniej wytrzymałem.

— Nie pozostało już jej ani kropli z tego, o czym pan mówi — odezwiała się wreszcie. — Z chwilą, gdy mu to dała, niema już nic.

— Ale może znowu zdobyć? — podsunąłem jej przypuszczenie.

Megera zaczęła mruczeć coś niezrozumiałe, objęła wzrokiem obie monety, błyszczące między jej palcami i zapytała:

— Ile takich ładnych sztuk ma pan jeszcze?

— Jeszcze ośm.

— I z pięćdziesięcioma frankami w kieszeni pan przychodzi tutaj po truciznę?

Zdziwienie jej było szczere. Kilka chwil upłynęło, zanim zdołała uspokoić się, poczem zaczęła:

— A ja, ile dla mnie pan przeznaczył?

— Pięć — odpowiedziałem, potwierdzając to słowo odpowiednim gestem.

Wkrótce szpony jej raczej niż palce zagarnęły nowe srebrne sztuki.

— Każe jej zejść tu. Czy dobrze?

— Dobrze.

— Może ona nie będzie zupełnie... pan rozumie? — rzekła stara, wskazując na czoło.

— Nic nie szkodzi, niech pani ją w każdym razie zawoła.

— Jeżeli ona znajduje się teraz w jaśniejszym momencie, to może nie będzie zadowolona, widząc pana tutaj.

— Wszystko jedno, gotów jestem na to ryzyko.

— W takim razie niech pan stanie koło pieca, by nie zobaczyła pana odrazu, gdy wejdzie. Mogła by uciec natychmiast.

Poszedłem za wskazówką starej czarownicy i z za-

dowoleniem spostrzegłem, że idzie ku drzwiom, opisanym przez Lataupé'a, a prowadzącym na schody na wyższe piętro tego domu. Gdy tylko znalazłem się sam, spojrzałem zaraz na stół, przy którym siedziała matka Lepic. Pieniądzy już nie było na nim.

— Niema obawy, bym je jeszcze zobaczył kiedy — rzekłem do siebie.

I nie myliłem się.

W miejscu, na którym stanąłem, wisiał nademną ług, który zaczął mnie drażnić. Odór, jaki się tu wydobywał, wydał mi się mniejszy z drugiej strony pieca, tam też przeszedłem, zato jednak znalazłem się więcej na widoku, co zaraz stara spostrzegła po powrocie.

— Pan się ruszał — rzekła podejrzliwie. — Niech pan idzie schować się za ług. Jeżeli pana nie zobaczy, to może skłonię ją, by śpiewała. Zdaje mi się, że jest w dobrym usposobieniu. Czy chce pan słyszeć jej śpiew?

Megera spodziewała się widocznie, że propozycję jej przyjmę z wielką radością. Udałem też, że jestem zachwycony.



— Czego pan chce? — mruknęła.

— Uwaga! — zawołała — oto ona. Niech pan się nie przestrasza jej dziwnym śmiechem.

Dobrze zrobiła, iż mnie przestrzęła, gdyż wybuch ostrego, dzikiego śmiechu, który rozległ się wkrótce na schodach, wywarł na mnie tak silne wrażenie, iż omal nie zdradziłem swej obecności. Zdołałem powstrzymać wzruszenie i słuchałem w milczeniu. Miałem wszelkie dane podejrzewać, że ta kobieta dostarczyła Lionelowi Hardy'emu kwasu pruskiego, który przyprawił o śmierć jego ojca. Czyż teraz wreszcie mam się znaleźć w towarzystwie tej, którą młody człowiek opisał jako nadzwyczajną piękność o obłąkanym wyrazie? Nie wiedząc nawet dlaczego, odpowiedziałem sobie przecząco.

Nagle oczom moim przedstawił się widok, którego nigdy nie zapomnę. Weszła kobieta poważna, a nie młoda panna. Nie była niezwykle piękna, lecz z całej jej postaci płynął jakiś urok, wdzięk, który czarował i napędzał wszystkich wzruszeniem. Jeżeli rozpatrywać szczegółowo jej rysy, to nie były one klasyczne, całość jednak była wytworna. Nie mogła uczynić żadnego ruchu, gestu, który nie byłby doskonały, wszystko w niej było harmonijne. Mimo bladych policzków i przerażającej chudości, czyniła wrażenie żywości, młodości, bujnych sił, naturalnej i bezwiednej radości życia, jakiej nie można było

oczekiwać u przestępczyni. Zdumiony byłem wpływem, jaki na mnie wywarła. Śledziłem oczyma najmniejsze jej ruchy. Z pewnością nie miałem przed sobą nieszczęśliwej, jakich jest niestety tak wiele. Mimoto trudno byłoby, jeżeli nie niemożliwe, znaleźć w szumowinach paryskich stworzenie bardziej skalane i nędzne.

— Śpiewaj, Nini! — zawołała matka Lepic rozkazującym tonem, który mnie oburzył. — Jesteś w nastroju do śpiewania, a ja mam chęć posłuchać ciebie. Śpiewaj!

Kobieta ta podniosła rękę do gardła, uśmiechnęła się i zaczęła śpiewać.

Słyszałem Melbę, słyszałem Patti, nigdy jednak te wielkie artystki nie wzruszyły mnie tak, jak ta kobieta. Nietylko dlatego, iż wybierała melodie smutne i rzewne, chociaż przed chwilą z trudem tylko powstrzymywała wybuchy śmiechu. Ani dlatego, iż ten tragiczny śmiech był, jakby natchniony nieopisanym bólem. Nie, był to doskonały wyraz genialnej sztuki, prawdziwy dar natury, który pozwalał temu dziwnemu stworzeniu wzruszać aż do łez.

— Tańcz! — rozkazała stara czarownica.

Zapomniałem zupełnie o matce Lepic.

Lecz Anita opuściła ręce ruchem, świadczącym o największym zmęczeniu.

— Nie mam siły — westchnęła.

Mimoto w chwilę potem tańczyła, opuszczając się i podnosząc z niewyraźnym czarem. Zachwycony tym widokiem, nie mogłem spuścić oczu z jej zmienionej twarzy. Ślady zmęczenia, cierpienia fizycznego i moralnego znikły, a cała jej postać drgała namiętnością. Nagle zatrzymała się.

Chrypliwy głos matki Lepic przypomniał mi smutną rzeczywistość.

— I co pan powie na to?

Gdy ta, którą nazywano Nini, spostrzegła moją obecność, cofnęła się, twarz zakryła rękami i uciekłyby w tej chwili, gdyby ją stara nie przytrzymała siłą.

— Pan ciebie potrzebuje. Chce mieć kilka kropel tego, coś dała innemu, przypominasz sobie, wieczorem, gdy przysła tu policja.

Machinalnie podniosła rękę do gorsu, a oczy jej szukały moich. Zobaczyła, że były one wilgotne.

— On płakał, mam Lepic — zawołała zaraz — on płakał. Może teraz i ja mogę także płakać. Chcę tego, jest to lepsze niż śpiewanie.

Mówiąc te słowa, wybuchła tak silnym łkaniem, iż pozostałem milczący ze zdumienia i współczucia.

Tymczasem mój agent wsunął głowę przez półotwarte drzwi.

— Co tu znowu? — rzekł. — Co się tu dzieje?

Poczułem w sobie nieodpartą chęć bronienia tej kobiety przed ciekawością policji. Dałem mu znak, by się oddalił, a zbliżając się do nieszczęśliwej, której łkanie poczęło słabnąć, szepnąłem jej do ucha:

— Nie powiedziała mi jeszcze pani,

czy zechce mi dać to, o co przyszedłem tu prosić.

— Co takiego?

— Krople tego, co zabija troski i smutek, co zabija je odrazu, w jednej chwili i na zawsze. Jestem nieszczęśliwy, dosyć mam już życia.

Rozwarła szeroko zdziwione oczy, które z wolna zamroczyły się.

— Nie mam tego... obecnie — odparła stłumionym głosem.

— Lecz może pani to otrzymać?

— Nie, nie. Mogłam mieć dawniej, gdy łatwiej było śmiać się i śpiewać niż obecnie... Teraz... — chciała uśmiechnąć się znowu, lecz usta jej skrzywiły się tylko żałośnie.

— I pani mu wszystko dała?... Wszystko?... — zapytałem.

— Jemu!... Komuż to? — powtórzyła, cofając się nagle z niedowierzaniem.

— Człowiekowi, marynarzowi, który był tu w ów wieczór i który zabrał to z sobą. Truciznę, kwas pruski w małej buteleczce, mieszczącej się w dłoni.

Roześmiała się głośno, wzruszając drwiąco ramionami. Okazała się teraz pospolitą dziewczyną, jaką można było znaleźć w podobnym miejscu.

— Marynarz! — powtórzyła, sztydząc.

(Ciąg dalszy nastąpi).